



ROZMOWA O ELITACH

Kilka myśli o umiejętnościach komunikacji politycznej

Jedną z umiejętności składających się na wiarygodność elity politycznej jest zdolność dobrej, etycznej komunikacji z elektoratem i z konkurentem politycznym.

Komunikacja z elektoratem ma oczywiście doprowadzić do pożądanego wyboru polityków startujących w wyborach. Jej zadaniem jest zdobycie zaufania obywateli, a miarą – skuteczność. Komunikacja ta powinna polegać na przedstawieniu wizji państwa i społeczeństwa, konkretnych celów i sposobów ich osiągania. Obraz zmian, które politycy chcą przeprowadzić, powinien być wyraźny i zrozumiały dla odbiorcy. Rzecz jasna, odbiorca musi się również liczyć z obecnością różnego rodzaju zabiegów marketingowych w kampanii. Nie powinny to jednak być chwytły manipulacyjne, bo one dowodzą jedynie umiejętności z zakresu budowania treści, które się dobrze sprzedają. Jeszcze gorzej świadczy o politykach używanie nieetycznych narzędzi socjotechnicznych – inwektyw, pomówień, kłamstw i gróźb. Związane z partiami politycznymi ośrodki medialne także nie powinny wspierać swoich polityków fake newsami i wywoływać paniki moralnej. Wyborca z zasady kłamstw nie weryfikuje, ale ich zdemaskowanie może sprawić, że straci zaufanie nie tylko do mediów, lecz także do polityków.

Ostatnie wybory pokazały niestety, że zamiast uczciwej komunikacji i konkretów merytorycznych, ambitnego i skutecznego marketingu narracyjnego, mieliśmy do czynienia z walką partii politycznych i walką wyborców o unieważnienie konkurencji. Spójność obozów była budowana za pomocą negatywnych emocji oraz braku poszanowania konkurentów. Dyskredytacja i pogarda czyniły z nich wrogów, a zapowiedzi rozliczeń źle się kojarzyły, przynajmniej starszemu pokoleniu. Politycy komunikowali się właściwie ze swoim elektoratem, a nie ze wszystkimi wyborcami.

Jakże inaczej budowano narrację polityczną we Francji. Charles de Gaulle przekonał Francuzów, że są wielkim i bohaterem narodem, że wyzwolili Paryż i Francję, chociaż żaden batalion francuski nie brał udziału w lądowaniu w Normandii, a de Gaulle nie uczestniczył w przygotowaniu tej operacji. Na 39 dywizji walczących w Normandii tylko jedna była francuska, a do Résistance należało w Paryżu zaledwie piętnaście tysięcy ludzi. Obraz wyimaginowanej Francji połączył Francuzów i pomógł się im odnaleźć po okresie rządów Vichy, deportacjach Żydów i kolaboracji z Niemcami. Kiedy de Gaulle przemawiał, adresował swoją wypowiedź do wszystkich Francuzów, a nie tylko do swoich współpracowników i zwolenników.

Wiele lat później Nicolas Sarkozy wygrał wybory narracją o sobie jako zwykłym Francuzie w szczęśliwym kraju.

Wybory w Polsce przypominały wojnę. Debata rywali nad kilkoma zaledwie wspólnymi sprawami państwa była krótka i nie pokazywała namysłu nad sytuacją polityczną. Właściwie była wymianą ripost, a nie rozmową z konkurentem o państwie, którym trzeba rządzić tak, by ludzie byli bezpieczni i szczęśliwi. Taki sposób komunikacji nie wydaje się etyczny ani też skuteczny w XXI wieku. Debata polityczna nie jest meczem piłki nożnej. W postpolityce komunikacja polityczna powinna być instrumentem konstruującym wspólnoty. Piętnowanie i poniżanie wrogów wydaje się nieskuteczne i pozbawione sensu. Owszem, wybory da się wygrać dzięki rozbudzeniu złych emocji, ale nie da się dzięki nim utrzymać wspólnoty. Ona bowiem buduje się na wspólnych wartościach i za pomocą porozumienia, za pomocą debaty prowadzącej do wzmocnienia poczucia godności oraz wiary we wspólną sprawczość – polityka i elektoratu. Jak pokazują wybory we Francji, słowa „Jesteśmy tu na pięć lat, aby napisać z Francuzami wspólną historię” są skuteczniejsze od hasła „Pokonajmy to zło”. Konieczne jest wskazanie wroga, ale jako kogoś silnego i godnego rywalizacji. Aby przekonać społeczeństwo do naszej wizji dobrego państwa i żyjącego w harmonii społeczeństwa, potrzebna jest zachęta do wspólnego działania. Sprzeciw konkurencji lepiej więc pokonać za pomocą uczciwej argumentacji, bo to może uruchomić kapitał społeczny, którego w Polsce wciąż brakuje. Wiarygodność musi być wsparta wolą i umiejętnościami z zakresu etycznej komunikacji – zdolnością przekonywania, umiejętnością nawiązywania dialogu i porozumienia, posługiwania się zabiegami, które ludzi łączą (a nie wykluczają) oraz uruchamiają zdolności działania zespołowego mimo różnic ideologicznych. Dopiero wtedy grupa polityczna może się stać reprezentantem wszystkich obywateli.

Ośmielam się przypomnieć, że głównym zadaniem elit politycznych jest właśnie utrzymanie i umacnianie wspólnoty. Aby wspólnota była silna i trwała, trzeba jej dostarczać wzorów zachowań w wielu obszarach i trzeba mówić o tym, co łączy jej członków. To są dwa ważne obowiązki elity. Zachowania członków elity tworzą pewną normę. Jeśli są złe, psują nie tylko obyczaje, np. sejmowe, co już kilka razy mieliśmy okazję obserwować, lecz także niszczą całą sferę publiczną. A ona jest dobrem wspólnym, miejscem, w którym powinien toczyć się dialog.

ROZMOWA O ELITACH

Turkusowe elity

Gdy mówimy o elitach, najczęściej myślimy o wybitnych osobowościach. Ja jednak chcę napisać o elitach wśród organizacji takich jak firmy, instytucje, stowarzyszenia, a nawet jednostki wojskowe.

Turkusowe elity to organizacje, w których ludzie maksymalnie wykorzystują synergię płynącą z pracy w atmosferę zaufania, odpowiedzialności i autonomii. Utopia? Ależ nie! To się już dzieje. Również w Polsce.

Od zarania dziejów wiadomo, że ludzie wolni i szczęśliwi pracują lepiej, a uskrzydleni góry przeniosą. Takich ludzi nie trzeba do pracy zaganiać, nie trzeba pilnować – wystarczy wspierać. Ilekć czasu poświęcają menedżerowie wszystkich szczebli na pilnowanie swoich podwładnych? Niektórzy oceniają, że do 80 procent. To marnotrawstwo energii dotyczy zresztą nie tylko pilnujących, ale i pilnowanych.

Frederic Laloux w swojej znakomitej książce *Pracować inaczej...* (Wydawnictwo Studio Emka, 2014) opisał samoorganizujące się firmy i instytucje, które nazwał *turkusowymi* (ang. teal organizations). W takich organizacjach nie ma szefów, którzy wyznaczają zadania i egzekwują ich wykonanie, ale są liderzy, którzy uczą i wspierają. Decyzje podejmuje ci, którzy później będą je realizować, a dzieje się to zgodnie z zasadą, że każdy może podjąć każdą decyzję pod dwoma warunkami:

- że jeżeli zostanie przyjęta, to będzie ją realizować, oraz
- że nikt nie zgłosi protestu (a każdy może).

A co się stanie, gdy pojawi się protest? Wtedy rozpoczyna się partnerska dyskusja. Jednakże taka zasada działa jedynie tam, gdzie udało się osiągnąć wysoki poziom wzajemnego zaufania zarówno do uczciwości (wiem, że mnie nie oszukasz), jak i do rzetelności (wiem, że się wywiążesz).

Firma, szczególnie duża, kojarzy nam się zwykle ze zbudowaną na wzór armii strukturą hierarchiczną, gdzie dokładnie wiadomo, kto komu wydaje polecenia, a następnie kontroluje ich wykonanie. Każdy pracownik ma określony zakres czynności, ściśle związany z jego stanowiskiem, a także indywidualnie wyznaczone cele, od osiągnięcia których uzależnione są premie, prowizje i nagrody.

Ten wprowadzony w XIX wieku system miał sens, gdy na liniach produkcyjnych stali niepiśmienni wyrobownicy, jednakże dziś powoduje niewyobrażalne marnotrawstwo ludzkiej kreatywności. Niestety, jego nadal dość liczni zwolennicy zdają się nie dostrzegać, że tak właśnie funkcjonowały powszechnie dziś krytykowane „gospodarki planowe” całego radzieckiego imperium. Ich legendarna nieskuteczność wynikała przede wszystkim stąd, że człowiek był traktowany jako narzędzie do realizowania planów centrali.

Jest wysoce zastanawiające, że mimo powszechnej zgody co do nieskuteczności gospodarek nakazowo-rozdziałczych, wielu menedżerów nadal uznaje radziecki wzorzec zarządzania za niepodważalny, choć z pewnością nie zdaje sobie z tego sprawy. Na szczęście coś już w tej materii zaczyna się zmieniać.

Przekształcenie firmy tradycyjnej w turkusową oznacza dokonanie głębokiej przemiany cywilizacyjnej w organizacji oraz emocjonalnej każdego pracownika. Wymaga determinacji, pracy i czasu. Zwykle zajmuje kilka lat, ale pierwsze efekty mogą pojawić się znacznie wcześniej.

Warto też dodać, że turkusowe firmy – mimo swoich nieortodoksyjnych zasad, a prawdę mówiąc to właśnie dzięki nim – radzą sobie (w tym biznesowo) znacznie lepiej od tradycyjnych.

Aby wejść w turkusową cywilizację, organizacje przyjmują całkowicie nowe zasady pracy. Oto najważniejsze z nich:

- przyjmijmy za nasz cel główny zmienianie świata na lepsze, a w tym – zmienianie na lepsze naszego środowiska pracy;
- budujmy na zaufaniu, poczuciu odpowiedzialności i partnerstwie;

- odrzućmy współzawodnictwo na rzecz współpracy;
- odrzućmy tzw. „systemy motywacyjne” na rzecz poczucia satysfakcji z tego, co robię i jaki jestem (motywowanie godnościowe);
- odrzućmy zarządzanie (wydawanie poleceń i kontrolę ich wykonania) na rzecz samoorganizacji zespołów, niech decyzje podejmują specjaliści, a nie kierownicy;
- odrzućmy hierarchiczną strukturę kierowniczą na rzecz sieciowej struktury procesowej.

Różne są drogi do turkusowego celu, tak różne, jak różne są organizacje i pracujący w nich ludzie. Można jednakże wskazać pewien wspólny kierunek, a może lepiej dekalog budowania organizacji turkusowej:

1. Nie szukaj winnego, by go ukarać – szukaj przyczyny, by ją usunąć.
2. Nie oczekuj perfekcji, której nie da się osiągnąć – oczekuj postępu, który zawsze jest możliwy.
3. Unikaj współzawodnictwa, które niszczy partnerstwo – stwarzaj warunki do współpracy.
4. Nie oceniaj, bo to niszczy – doceniaj, bo to wzmacnia.
5. Nie mów, co jest źle – mów, co może być lepiej.
6. Nie pytaj ludzi, co mogliby zrobić lepiej – pytaj, co im w pracy przeszkadza.
7. Nie buduj na kontroli – buduj na zaufaniu.
8. Nie mów, że ktoś jest zły – mów, jak ty się z tym czujesz (tzw. „komunikat ja”).
9. Nie zarządzaj – twórz warunki do samoorganizacji.
10. Nie bądź nadzorcą – bądź nauczycielem, moderatorem i uczniem.

W firmach turkusowych zysk przestaje być celem, ale nadal pozostaje koniecznością. I jak się okazuje, jest tam większy niż w firmach, które troszczą się przede wszystkim o zysk. Turkusowa firma Morning Star przez pierwsze 20 lat swojego istnienia miała dwucyfrowy wzrost rok do roku, a dziś jest największą na świecie firmą przetwórstwa pomidorów. Młodsza od niej firma Marco z Gliwic osiąga 20-procentową stopę zysku przy pięknej siedzibie, dobrych wynagrodzeniach i wielu pozapłacowych korzyściach dostępnych dla wszystkich pracowników, a 10 proc. swojego zysku przeznaczają w każdym roku na cele społeczne.

Obserwując i spotykając kolejne firmy turkusowej elity, nabieram przekonania, że jest to kierunek rozwoju nie tylko gospodarek świata, ale też i społeczeństw. Bo jeżeli organizacje turkusowe wygrywają z tradycyjnymi, to będzie ich coraz więcej.

Do turkusowej wizji świata zachęcam szczególnie tych przedsiębiorców, którzy dziś zakładają swoje firmy, bo tworzenie turkusu od podstaw jest znacznie łatwiejsze niż transformacja istniejącej firmy. Budując firmę turkusową, macie szansę nie tylko wygrywać na rynku, ale też oferować sobie i swoim pracownikom lepsze życie. Dziś to na razie wielka szansa, ale gdy więcej firm to zrozumie, stanie się koniecznością.

Czytelników, którzy o turkusowych elitach chcieliby przeczytać więcej, zapraszam na moją witrynę

<https://moznainaczej.com.pl/artykuly-wlasne/turkusowa-firma-xxi-w>

a także do lektury mojej książki *Doktryna jakości. Rzecz o turkusowej samoorganizacji*, której bezpłatną wersję cyfrową można pobrać z mojej witryny:

<https://moznainaczej.com.pl/ksiazka-i-artykuly/doktryna-jakosci>

Jest również dostępna w wersji angielskiej:

<https://moznainaczej.com.pl/teal-doctrine-of-quality>

ANDRZEJ BLIKLE

Institut Podstaw Informatyki PAN
Academia Europaea

ROZMOWA O ELITACH

Naród bez elit do elity nie należy

École Normale, tę przy rue d'Ulm, założył Napoleon. Nad wejściem widnieje napis: „Liberté, Égalité, Fraternité”. Wiem, bo walełowałem w akademiku. Koledzy Francuzi pytali, czy to na pewno w tej przy rue d'Ulm. Tak, na pewno.

Do École Normale jest podobno trzystu kandydatów na jedno miejsce. Aby się dostać, trzeba skończyć dwuletnią, słono płatną École Préparatoire. Klasa „Science”, w której na pierwszym roku jest 170 miejsc (sprawdzałem kilka lat temu), obejmuje fizykę, matematykę, astronomię, chemię, geografję fizyczną, pewno też i informatykę. Mówi się, że aby zostać prezydentem, znanym pisarzem lub profesorem uniwersyteckim, tę École trzeba ukończyć. Podobno.

Liceum Eton (Eton College) ma wszystkiego 1400 uczniów. Wiem, bo kilka lat temu dyrektorem był Włoch. Statystyki angielskie mówią, że na Uniwersytetach Oxford i Cambridge jest więcej studentów z tego jednego Liceum niż studentów pobierających bony żywnościowe (czytaj: mniej uposażonych). Nie wiem, czy królewicze Eton kończyli, ale niewykluczone.

W USA siedem „sióstr”, najlepszych uniwersytetów, ma renomę niepodważalną od zawsze. Oczywiście, nie wszystkich na studia stać. Ale najzdolniejsi dostają stypendia. Na Wayne State University, podobno najlepszym w Michigan, wisiąco więcej ogłoszeń różnych fundacji, niż było doktorantów. Skarzyli się koledzy, że mimo dobrej renomy nie mają w kadrze żadnego noblisty.

A my? Kilku noblistów/noblistek mamy/mieliśmy. Na ilu uniwersytetach otrzymali angażę? Ta ostatnia nie jest chyba lubiana, bo najpierw opisała zablocone Podole, a ostatnio stwierdziła: „Również uniwersytety straciły swą funkcję kulturową. Naukowcy zamienili się w wyrobników, goniących za grantami i punktami” (cytat z pamięci).

Jeśli nie naukowcy, to może arystokracja? Znajoma hrabina de Negri di San Pietro (w średniowieczu mieli za zadanie bronić wieży San Pietro) skarżyła się, że jej rodzina w Trento rezyduje dopiero 800 lat. Zresztą przesympatyczna Beatrice po upadku monarchii pracowała jako pokojówka w Egipcie, u (byłej) królowej Eleny, a później została skromną nauczycielką na Brennero.

Byłem kilka lat temu w Lidzie, gdzie zamek zbudowali Krzyżacy. Z trudem szukaliśmy tam śladów bytności naszej magnaterii: ratusza, mostu, dróg, katedry. Jakby te tzw. Kresy były jedynie źródłem ekonomicznym, a po cywilizację podróżowało się do Paryża.

Trzecią elitą mogłaby być klasa przedsiębiorców. Ale tu też tradycja Wokulskiego jest inna niż szwajcarska. Tam bogaty jest taki, bo mu Pan Bóg darzy. A on darzy innym. A u nas? „Co drugi to kanciarz”.

W auli nr I w Pelplinie trzy ściany zajmują portrety księży zamordowanych w Szpęgawsku. Okupanci/zaborcy wiedzieli dobrze: aby zniszczyć naród, trzeba wyeliminować elity. Coś poszło lepiej później? *Historia filozofii* to chyba najlepsza książka tego typu na świecie, napisana z precyzją, jakby z Marburga. Ale w roku 1950 kilku studentów UW (nazwiska można sprawdzić) napisało donos i Tatariewicz stracił katedrę. A Ingarden, który postawił się samemu Husserlowi, do roku 1960 był na urlopie naukowym. Oj, nie lubili komuniści elit.

Innymi słowy, proponuję wylosować, kogo chcemy w elicie? Mościckiego, Paderewskiego, Kościuszkę, czy jakiegoś „Przybłędę”? Naród bez elit nie może do elity kulturowej świata należeć. Na pewno.

GRZEGORZ KARWASZ

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

ROZMOWA O ELITACH

Blaski i cienie elitarności

Słowniki języka polskiego wyróżniają dwa znaczenia przymiotnika „elitarny”, mianowicie 1) uprzywilejowany, dostępny dla elit, ekskluzywny, 2) najlepszy z najlepszych. Znacznie więcej jest antonimów, m.in. „egalitarny”, „popularny” i „bezwartościowy”. Zaczniemy od tego ostatniego przypadku. Przeciwnością „bezwartościowego” jest „wartościowy”. Niemniej jednak, gdy identyfikuje się elitarności z uprzywilejowaniem, dostępnością dla elit czy ekskluzywnością, to nie implikuje automatycznie, że bycie uprzywilejowanym, dostępnym dla elit czy ekskluzywnym jest czymś wartościowym. Nawet jeśli powie się, że tak, to trzeba jakoś zdefiniować wartościowość. Bogacze są na pewno uprzywilejowani pod różnymi względami, a ekskluzywne samochody są dostępne dla nich właśnie jako elity finansowej. Trudno powiedzieć, że takie pojazdy są bezwartościowe dla zwykłego człowieka, ale na pewno jest on zainteresowany popularnymi (w sensie możliwości ich zakupu) autami. Egalitarni będąc wręcz protestowali przeciwko uważaniu elitarności w rozważanym sensie za wartościową, ponieważ uważa ją za coś szkodliwego z uwagi na ład społeczny postulujący nawet względną równość. Czytamy w świętej księdze: „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego”, a to apologia antyelitarności finansowej. Wprawdzie rozwój społeczeństw nie wyklucza różnic majątkowych, nawet bardzo poważnych, ale elitarności pod względem zamożności nie jest warunkiem ładu społecznego. Trudno mi się zgodzić z opinią Redakcji: „Zapewne nikt, może z wyjątkiem skrajnych

anarchistów, nie kwestionuje, że organizacja ludzkich zespołów wymaga stworzenia i ustalenia elity, która nadaje ton i stanowi wzór, a więc w rezultacie kieruje, choćby nieformalnie, resztą”, przynajmniej rozpatrując majątkowe lub kastowe rozumienie bycia elitą.

Może jednak chodzi o to, że elitarny to najlepszy z najlepszych. A więc koszykarska liga NBA jest elitarna, są elitarne jednostki wojskowe, także uniwersytety czy szpitale. Załóżmy dla prostoty, że tylko kompetencje czy umiejętności są jedynymi kryteriami kwalifikacji danej instytucji jako elitarniej. Jednak trudno uznać, że nieelitarny jest tym samym, co bezwartościowy. Polska liga koszykarska nie jest bezwartościowa, wojny nie mogą być wygrywane tylko przez oddziały elitarne, uczelnie ze środka rankingu szanghajskego są równie potrzebne, jak te z pierwszej jego dziesiątki, a szpital powiatowy odgrywa istotną rolę w leczeniu pacjentów, niekiedy może nawet większą od lecznicy rządowej, na pewno elitarniej. W społeczeństwie masowym ważna jest nie tylko elitarności, ale, może nawet bardziej, odpowiednia (celowo nie piszę wysoka) jakość tego, co przeciętne. Nie przecząc, że elitarności w drugim znaczeniu jest istotną jako określony wzorec dla takich lub innych ról społecznych, np. w nauce. Kładłbym jednak nacisk nie tyle na elitarności samą w sobie, ile na kryteria bycia wartościowym pod takim, a nie innym względem. Parafrazując Leca, „Lato obrodziło elitarnymi, może jeszcze znajdzie się kilku zwycięznych”.

JAN WOLEŃSKI

Uniwersytet Jagielloński



Głos za wolnością

Nieco żartobliwie można powiedzieć, że Profesor Andrzej Białas ma patent na sianie fermentu. To właśnie jego tekst *Zwyciężył polski romantyzm* (PAUza, 663) skłonił mnie, aby dodać swoje trzy grosze do dyskusji o przyczynach zwycięstwa demokratycznej opozycji w wyborach 15 października. Zastrzegę przy tym od razu, że od początku, to jest od jesieni 2015 uważałem, że zwycięska wówczas formacja polityczna zostanie w przyszłości odsunięta od władzy, jeśli w ogóle to się stanie, nie ze względów ekonomicznych, lecz właśnie ideowych.

Polski etos narodowy jest wolnościowy. Nie trzeba o tym nikogo przekonywać. Zarówno literatura, jak i film, ale przede wszystkim doświadczenie dowodzą tego aż nadto. Wiemy zarazem także, że nie zawsze potrafił się w naszych dziejach dobrze obchodzić z wolnością, więc nierzadko ją traciliśmy. Aby potem do niej tęsknić, dążyć, wzniecać powstania, przelewać krew. Najsilniej wolnościowy etos Polaków jest obecny w romantyzmie (zwłaszcza Mickiewicz), ale przecież także później, u Asnyka czy Herberta („Jak powstańcy, którzy wbrew zegarom historii [...] mimo wszystko zaczynają” w wierszu *Tarnina*). Ostatnie wybory parlamentarne słusznie były porównywane do tych z 1989 roku. Wtedy także chodziło o wolność. Tym razem demokratycznej opozycji było znacznie trudniej, bowiem obecnie rządzący stworzyli skrajnie nieuczciwe warunki konkurencji. A jednak wygrała. Między innymi dlatego, ponieważ Polacy uznali, że opozycja reprezentuje ich pragnienie wolności.

Oczywiście, powody, dla których opozycja wygrała w tych do cna nierównych warunkach, są rozliczne. Najprościej byłoby powiedzieć, że partie władzy sposobem rządzenia obrażały przez ostatnie osiem lat inteligencję większości Polaków, ich poczucie przyzwoitości i smaku (także w sensie Herberta). Ale w moim przekonaniu wśród ważnych motywów głosowania na opozycję było rosnące przeświadczenie, że rządzący krok po kroku zabierają Polakom wolność. Bardzo różnie rozumianą, w wielu obszarach, ale tak rozumianą, jak jest ona pojmowana w Europie (łacińskiej). W wymiarze praktycznym wolność przekłada się na podmiotowość. Tymczasem rządy tak zwanej zjednoczonej prawicy budowały nie tylko państwo autorytarne (z definicji wrogie wolności), ale też klientelistskie. Władza miała zapewniać rządzoną pełną

miskę ryżu, a rządzieli mieli w zamian nie wtrącać się do rządu, mieli być tylko wdzięczni. Wszystko w Polsce miało być prezentem od władzy, jej taską, którą poddani winni byli doceniać.

Ten odzierający z godności i ograniczający wolność klientelizm widać było na każdym kroku. Zwłaszcza na poziomie samorządowym, nie tylko terytorialnym, ale i branżowym. A przecież Europa była definiowana nie tylko przez powiedzenie „dokąd gotyk, dotąd Europa”, ale także „dokąd samorząd, dotąd Europa”. To drugie ukuliśmy w Fundacji „My Obywatele Unii Europejskiej – Fundacja im. Wojciecha B. Jastrzębowskiego”. Lecz przecież było ono ugruntowane w historii Europy, której mieszkańcy od końca średniowiecza byli obywatelami, nie poddanymi. To właśnie, zdaniem Jastrzębowskiego, różniło Europejczyków od niewolników poddanych władzy rosyjskiego samodzierżcy. W polityce formacji rządzącej od końca 2015 roku samorząd miał się stać atrapą. Decyzje i pieniądze miały płynąć z góry. To niestychanie upokarzało poczucie wolności i obywatelskości. Stawało się także barierą dla rozwoju Polski i dla jej miejsca w Europie. Stąd obywatelskie i wolnościowe wzmożenie Polaków 15 października. Dobrze, że młodzi w końcu zrozumieli, że wolność nie ogranicza się do Internetu, że czasem – jak w moim pokoleniu – trzeba dla niej wyjść na ulicę... Dobrze, że tym razem wystarczyło postać w kolejce do urny wyborczej.

Jak wiadomo, Józef Piłsudski, ojciec polskiej niepodległości w 1918 roku, zwykł się mocno zżymać na określenie Polaków jako romantyków, bo szczególnie używanie tego określenia po powstaniu styczniowym wydawało mu się sposobem powiedzenia, że są po prostu „głupi” (np. przemówienie w 10. rocznicę powstania Legionów). W końcu z tym określeniem się pogodził, był wszakże miłośnikiem Słowackiego. Uznał, że „być może jest romantykiem”. Ale bardzo chciał, aby to, co było romantycznym szaleństwem, „stało się także i rozumem polskim”. Apelowwał więc, aby „rozum stanu” uzupełniał „ciężką pracę i krwawe ofiary” Polaków. I tę myśl trzeba zadedykować zwycięskiej demokratycznej opozycji z 15 października. Niech nie zmarnuje swojej ciężkiej pracy i romantycznego, wolnościowego uniesienia Polaków, które dały jej to zwycięstwo.

ROMAN KUŹNIAR

Uniwersytet Warszawski

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU



WYDAWNICTWO PAU POLECA

PAUza Akademička - www.pauza.krakow.pl - tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.
Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.